



H. P.
LOVECRAFT

W GROBOWCU

H.P. LOVECRAFT

W GROBOWCU

(...)



W GROBOWCU

W moim mniemaniu nie ma nic bardziej absurdalnego niż skojarzenia tego, co swojskie, z tym, co zdrowe, które są typowe dla psychologii tłumu. Wystarczy wspomnieć sielską, jankeską okolicę, gruboskórnego wioskowego przedsiębiorcę pogrzebowego – partacza i nieopisany bałagan w grobowcu, a każdy przeciętny czytelnik mógłby oczekiwać zdrowej dawki groteskowego czarnego humoru. Bóg mi jednak świadkiem, że prozaiczna historia, którą wolno mi już opowiedzieć z uwagi na śmierć George’a Bircha, zawiera w sobie dawkę grozy, przy której bledną nasze najmroczniejsze tragedie.

Birch otrzymał prekluzję i zmienił swój fach w 1881 roku, niemniej nigdy nie rozmawiał na ten temat, jeżeli tylko mógł go uniknąć. Podobnie jak jego stary lekarz, doktor Davis, zmarły wiele lat temu. Uznano, że obrażenia i szok zostały spowodowane wskutek niefortunnego poślizgnięcia, w czasie gdy Birch zamknął się na dziewięć godzin w grobowcu – przechowalni cmentarza Peck Valley, skąd wydostał się nie bez trudu i użycia siły. Podczas gdy wszystko to było bez wątpienia prawdą, cała afera miała jeszcze swoją mroczną stronę, o której Birch szepnął mi w pijanym widzie, w stanie silnego delirium, pod koniec swego życia. Zwierzył mi się, gdyż byłem jego lekarzem i prawdopodobnie po śmierci Davisa poszukiwał kogoś, z kim mógłby podzielić się swymi zgryzotami. Był kawalerem, nie miał krewnych.

Przed rokiem 1881 Birch był wioskowym przedsiębiorcą pogrzebowym w Peck Valley, tak gruboskórnym, opryskliwym i prymitywnym, jak tylko

można sobie wyobrazić. Praktyki, które, jak zasłyszałem, mu przypisywano, byłyby dziś – przynajmniej w mieście – nie do pomyślenia. Jednak nawet Peck Valley zdrząło na wieść o elastycznych zasadach etyki przejawianych przez owego „artystę śmierci” w sprawach takich, jak wartościowe rzeczy drogich świętej pamięci zmarłych, niewidoczne przecież pod wiekiem trumny, czy układanie i dopasowywanie niewidocznych członków nieboszczyków, wewnątrz skrzyń nie zawsze wykonanych z idealną, nienaganną dokładnością.

Najkrócej mówiąc, Birch był niedbały, nieczuły i niekompetentny, niemniej wciąż twierdzę, że nie był on złym człowiekiem. Był co najwyżej bryłą tkanek, mięśni i kości, wykonującą pewne czynności – bezmyślną, nieostrożną i ze słabością do butelki, co udowadnia incydent, łatwy przecież do uniknięcia, jak również pozbawioną tej krztyny wyobraźni, która nie pozwala przeciętnemu człowiekowi przekroczyć pewnej granicy dobrego smaku.

Nie mam wprawy w opowiadaniu tego typu historii i trudno mi zdecydować, od czego zacząć opowieść Bircha.

Przypuszczam, że powinno się zacząć od zimnego grudnia 1880 roku, kiedy ziemia zamarzała i grabarze nie mogli kopać grobów aż do wiosennych roztopów. Na szczęście wioska była mała, a śmiertelność niska, tak że wszystkich nieboszczyków Bircha można było umieścić tymczasowo w prastarym „przejściowym” grobowcu. Złe warunki pogodowe wpłynęły dwakroć bardziej rozleniwiające na próżniaczego z natury przedsiębiorcę pogrzebowego, który teraz jak nigdy dotąd zaczął zaniedbywać swoje obowiązki.

Jeszcze nigdy nie zbijał trumien równie niedbale i niezdarnie ani nie przejmował się stanem zardzewiałego zamka w drzwiach grobowca, które

otwierał na siłę, a zatrząskiwał z impetem lekceważącym pchnięciem albo kopniakiem.

Wreszcie nadeszły wiosenne roztopy i przygotowano skrzętnie groby dla dziewięciu ofiar Posepnego Żniwiarza, oczekujących w grobowcu. Birch, choć wzdragał się zarówno przed przeniesieniem ciał, jak i przed pochówkiem, rozpoczął owo żmudne zajęcie pewnego kwietniowego poranka, lecz musiał je przerwać przed południem z powodu silnej ulewy, która najwyraźniej zdenerwowała jego konia. Do tej pory udało mu się złożyć na spoczynek zaledwie jedno ciało. Należało do małego Dariusza Pecka, którego mogiła znajdowała się niedaleko od grobowca. Birch postanowił, że następnego dnia zacznie od małego starego Mathew Fennera, gdyż jego grób również był dość blisko, lecz koniec końców odłożył zajęcie aż na trzy dni, do Wielkiego Piątku, piętnastego kwietnia. Nie był przesądny, nie przejął się więc wcale dniem, w którym przystąpił do pracy, choć od tamtej pory odmawiał wykonania jakichkolwiek posług szóstego dnia tygodnia, który okazał się dlań feralny. Nie ulega wątpliwości, że wypadki, jakie zaszły owego wieczoru, wielce zmieniły George'a Bircha.

W piątkowe popołudnie, piętnastego kwietnia, Birch z koniem i wozem wyruszył do grobowca po ciało Mathew Fennera. Później potwierdził, że nie był wtedy całkiem trzeźwy, ale i nie pił na umór, jak później, gdy próbował o pewnych rzeczach zapomnieć. Miał po prostu w czubie i był na tyle nieostrożny, że rozdrażnił swego wrażliwego konia, który zbliżając się do grobowca, zaczął rzeć, bić kopytami i targać łbem, jak podczas ulewy przed kilkoma dniami. Dzień był pogodny, ale zerwał się silny wiatr. Birch cieszył się więc, że wchodzi do zamkniętego pomieszczenia. Otworzył żelazne drzwi i znalazł się wewnątrz grobowca wykutego w zboczu wzgórza. Ktoś inny mógł poczuć odrazę do wilgotnego, cuchnącego

pomieszczenia, wewnątrz którego znajdowało się osiem ułożonych niedbale trumien, Birch wszakże był w owym czasie absolutnie nieczuły i jedyne, co go interesowało, to przewieźć właściwą trumnę do właściwego grobu. Nie zapomniał zjadliwej krytyki, kiedy krewni Hanny Bixby, pragnąc przenieść jej zwłoki na cmentarz w mieście, do którego się przeprowadzili, zastali pod płytą cmentarną trumnę sędziego Capwella.

Światło było słabe, ale Birch miał dobry wzrok i nie wybrał trumny Asapha Sawyera przez pomyłkę, mimo iż była podobna. Prawdę mówiąc, wykonał tę trumnę dla Mathew Fennera, jednakże odrzucił ją, uznając za wybrakowaną, zbyt marnie i niedokładnie wykonaną, w przypływie osobliwego sentymentalizmu, kiedy przypomniał sobie, jak miły, hojny i dobry okazał się dlań mały staruszek przed pięcioma laty, kiedy splajtował jego poprzedni interes. Dał staremu Mattowi najlepszy ze swoich wyrobów, ale z wrodzonej oszczędności zachował również wybrakowaną trumnę i zrobił z niej użytek, gdy Asaph Sawyer zmarł, powalony śmiertelną gorączką. Sawyer nie należał do nazbyt lubianych mieszkańców wioski. Krążyło wiele opowieści na temat jego nieludzkiej mściwości i pamiętliwości za prawdziwe bądź wymyślone krzywdy. Birch bez skrupułów przeznaczył dlań niedbale wykonaną trumnę, którą teraz właśnie wyciągnął, poszukując trumny Fennera.

I właśnie w chwili gdy rozpoznał starą trumnę Matta, wiatr zatrzęsął drzwi, pozostawiając go w głębszym niż dotychczas półmroku. Przez niewielkie okienko wpadało niewiele światła, a przewód wentylacyjny u góry nie dopuszczał nawet najsłabszych promieni słońca. Tym oto sposobem Birch zmuszony był gmerać po omacku, poszukując między trumnami zamka żelaznych drzwi. W półmroku zagrzechotała zardzewiała klamka, pchając z całej siły żelazne okno, i nagle zaczął zastanawiać się, czemu masywny portal stał się nieoczekiwanie tak oporny. W półmroku

również zaczął uświadamiać sobie prawdę i krzyknął głośno, jakby jego koń na zewnątrz mógł w odpowiedzi uczynić coś więcej, niż tylko zarzeć żałośnie. Zaniedbany od dawna zamek najwyraźniej zepsuł się na amen, pozostawiając nieostrożnego przedsiębiorcę pogrzebowego uwięzionego w grobowcu, jako ofiarę własnej niefrasobliwości.

Musiało się to wydarzyć około wpół do czwartej po południu. Birch, z natury flegmatyczny i praktyczny, nie krzyczał długo, zaczął natomiast poszukiwać wokoło narzędzi, które, o ile dobrze pamiętał, powinny znajdować się w kącie grobowca. Wątpliwe jest, czy poruszyła go choć odrobinę groza i niezwykłość jego obecnego stanu, niemniej z całą pewnością uwięzienie na odludziu, z dala od uczęszczanych ścieżek wstrząsnęło nim do głębi. Przerwano jego pracę i gdyby nie został uwolniony przez jakiegoś zbłąkanego wędrowca, musiałby pozostać w grobowcu przez całą noc, a może nawet dłużej. Niebawem odnalazł stertę narzędzi i wybrawszy młotek oraz dłuto, Birch powrócił, przestępując trumny, do drzwi. Zaczęło się robić duszno i nieprzyjemnie, ale na ten szczegół gruboskórny mężczyzna nie zwrócił najmniejszej uwagi, pracując, niejako na wyczucie, przy ciężkim, mocno skorodowanym metalu zamka. Wiele był gotów oddać za latarnię, lampę albo ogarek świeczki, w tej jednak sytuacji zmuszony był polegać niemal wyłącznie na dotyku.

Kiedy stwierdził, że zamek zatrzasnął się na dobre i raczej nie zdoła go otworzyć, dysponując tak skąpą liczbą narzędzi, Birch zaczął poszukiwać innych możliwości wydostania się z zamknięcia. Grobowiec wykuty został w zboczu wzgórza, tak że wąski kanał wentylacyjny powyżej biegł na długości kilku stóp w głąbi ziemi i wydostanie się przezeń w ogóle nie wchodziło w grę. Jednakowoż wysoko nad drzwiami widniało małe okienko wykute w ceglanej ścianie i choć wąskie, dawało szansę uwolnienia komuś, kto żmudną pracą zdecydowałby się je poszerzyć. Jego

wzrok spoczął na otworze, a mózg zaczął głowić się nad sposobem dostania się na sporą, bądź co bądź, wysokość. W grobowcu nie było wszak drabiny, a nisze trumienne po bokach i z tyłu pomieszczenia, z których Birch właściwie nie korzystał, również nie umożliwiały osiągnięcia okienka nad drzwiami. Pozostały jedynie same trumny jako potencjalne stopnie, a Birch, rozważając ów pomysł, zastanawiał się nad najlepszym sposobem ich ułożenia. Trzy warstwy trumien – oszacował – powinny wystarczyć, aby dosięgnął okna, ale jeszcze lepiej sprawiłby się przy czterech. Skrzynie były prawie równe i można je było układać jak cegły – teraz zaczął zastanawiać się, jak z ośmiu trumien ułożyć czterowarstwową platformę, która byłaby dostatecznie stabilna i na którą mógłby się wdrapać. Planując, mógł jedynie w głębi duszy żałować, że poszczególne „elementy” jego „schodów” nie były sporządzone solidniej. Wątpliwe jest, czy miał dość wyobraźni, aby równocześnie życzyć sobie, by były puste. Wreszcie zdecydował się ułożyć podstawę z trzech skrzyń ustawionych równolegle do ściany – miała to być pierwsza platforma. Zadanie to wymagało najmniej wysiłku, a pozwalało na osiągnięcie żądanej wysokości. W końcu postanowił jednak sporządzić podstawę z dwóch tylko skrzyń, pozostawiając jedną „w rezerwie” na wypadek, gdyby do odzyskania wolności konieczne okazało się pokonanie jeszcze większej wysokości. Tym oto sposobem więzień ciężko pracował w półmroku, poczynając sobie nader lekceważąco z doczesnymi szczątkami drogich nieobecnych i budując, krok po kroku, miniaturową wieżę Babel. Kilka trumien zaczęło pękać na skutek jego bezceremonialnego traktowania, toteż postanowił zatrzymać solidnie zbitą skrzynię Mathew Fennera na sam koniec, by jego stopy miały możliwie jak najlepsze oparcie. W szarości grobowca wybierał je niemal wyłącznie „na dotyk” i prawdę mówiąc, natknął się na nią niejako przypadkiem, gdyż wpadła mu w ręce jakby z własnej woli, kiedy ułożył ją mimowolnie na trzecim poziomie.

W końcu wieża została ustawiona, a zbolące ręce przedsiębiorcy odpoczęły przez chwilę, gdy on sam usiadł na dolnym stopniu swej posepnej budowli. Birch wspiął się ostrożnie na platformę uzbrojony w niezbędne narzędzia i stanął na wprost małego okienka, znajdującego się na wysokości jego piersi. Ścianki otworu wykonane były z cegieł i mężczyzna nie miał najmniejszych wątpliwości, że w krótkim czasie zdoła poszerzyć je na tyle, aby móc precyzyjnie się na zewnątrz. Kiedy zadał kilka pierwszych uderzeń młotkiem, koń na zewnątrz zarżał, a w jego głosie mogła brzmieć tyleż zachęcająca, co ironiczna nuta. Tak czy inaczej, ton był jak najbardziej trafny, gdyż nieoczekiwana twardość kruchych z wyglądu cegieł stanowiła sardoniczny komentarz dla marności ludzkich nadziei i stałości przeszkody, do pokonania której konieczny był każdy możliwy bodziec.

Zapadł zmierzch, a Birch wciąż pracował. Obecnie robił to nieomal wyłącznie na wycucie, gdyż wiszące na niebie chmury zakryły tarczę księżyca. Choć robota szła mu jak po grudzie, poczuł pewien przypływ otuchy wywołany powiększeniem górnej i dolnej krawędzi otworu. Był pewien, że zdoła wydostać się przed północą, aczkolwiek charakterystyczne jest dlań, że owa myśl wyprana była z wszelkich osobliwych implikacji. Nie zaniepokojony mrocznymi refleksjami związanymi z czasem, miejscem i towarzysstwem, jakie miał pod stopami, ze stoickim spokojem odkuwał kolejne fragmenty cegieł, klnąc, gdy jakiś odłamek trafił go w twarz, i wybuchając śmiechem, gdy jeden dosięgnął coraz bardziej zdenerwowanego konia, który rył kopytami ziemię opodal cyprysowego drzewka. W miarę upływu czasu otwór powiększył się na tyle, że Birch odważył się podjąć próbę precyzyjnego przesunięcia się na zewnątrz. Zmienił nieznacznie pozycję, a trumny poniżej poruszyły się i zatrzeszczały. Stwierdził, że nie musi budować jeszcze jednego poziomu swojej

platformy, aby osiągnąć należytą wysokość, powinien bowiem bez trudu precyzyjnie się przez okienko, gdy tylko osiągnie ono odpowiednią średnicę.

Musiała być chyba północ, kiedy Birch stwierdził w końcu, że otwór jest dostatecznie duży, by mógł się przezeń przedostać. Zmęczony i ociekający potem, pomimo wielu przerw na odpoczynek, zszedł niżej i przysiadł na dolnej skrzyni, by zebrać siły na ostateczną próbę prześlizgnięcia się na drugą stronę i zeskoczenia na ziemię. Wyglądniały koń rżał raz po raz, nieomal histerycznie, a Birch w głębi serca pragnął, aby zwierzę w końcu zamilkło.

Nie wiedzieć czemu odkładał chwilę swego uwolnienia i niemal obawiał się tego upragnionego kroku, nie był już wszak młodzieniaszkiem i jego ciało nie miało dawnej sprawności. Kiedy wspinał się na górę po rozszczepiających się trumnach, czuł bardzo wyraźnie cały ciężar swego krępego, potężnego ciała; zwłaszcza kiedy znalazłszy się na szczycie, usłyszał przeszywający trzask pękającego drewna. Najwyraźniej próżne było jego planowanie i decyzja, by wybrać na górny poziom platformy najwytrzymalszą z trumien, kiedy bowiem na niej stanął, przegniłe wieko zapadło się, a jego stopy znalazły się pół metra niżej, zatrzymując się na powierzchni czegoś, czego Birch nawet nie próbował sobie wyobrazić. Czekał na zewnątrz koń, oszalały przeraźliwym odgłosem lub może fetorem, który wypłynął z zamknięcia, wydał ochrypły odgłos, który był zbyt nerwowy jak na rzenie, i pomknął na oślep w noc, ciągnąc za sobą kolebiący się i turkoczący szaleńczo wóz.

Birch, znalazłszy się w nowym, upiornym położeniu, był zbyt nisko, by bez trudu wypełznąć na zewnątrz przez powiększony otwór okienny, niemniej zebrał w sobie wszystkie siły, aby przynajmniej spróbować. Chwyając się krawędzi otworu, zaczął się podciągać, gdy wtem, ni stąd, ni zowąd, poczuł, że coś trzyma go za kostki. Miał wrażenie, że jest ściągany

w dół. W chwilę potem, po raz pierwszy tej nocy poczuł dojmujący lęk, bo choć uparcie próbował, nie był w stanie uwolnić się od uchwytu czegoś, co stanowczo i bezlitośnie unieruchamiało jego stopy. Przerażliwy ból, płynący jakby z głębokich ran, przeszył jego łydki, a umysł Bircha wypełnił wir przerażenia wywołanego wyobrażeniem sobie drzazg, obluzowanych gwoździ lub innych niebezpieczeństw związanych ze strzaskaną, drewnianą skrzynią. Być może krzyknął. Tak czy inaczej, kopał i wił się jak oszalały, bliski utraty świadomości.

Instynkt pokierował nim, gdy przeciskał się przez otwór, i później, gdy runął w dół, by ciężko wylądować na rozmokłej ziemi na zewnątrz. Wyglądało na to, że nie może chodzić, a wylaniający się księżyc musiał być świadkiem przeraźliwej sceny, gdy Birch, ciągnąc za sobą okrwawione kostki, na wpół oszalały, niczym bezmyślna maszyna pełził w kierunku domku dozorcyci cmentarza, wbijając zakrzywione jak szpony palce w czarną ziemię. Jego ciało reagowało z przyprawiającą o obłęd powolnością, którą odczuwa człowiek ścigany przez upiory z najgorszych koszmarów. Nikt go wszakże nie ścigał; był sam i żywy, kiedy Armington, dozorca, odpowiedział na jego słabe, niepewne skrobanie do drzwi.

Armington pomógł Birchowi wejść do środka i ułożył na zapasowym łóżku, po czym wysłał swego synka, Edwina, po doktora Davisa. Ranny był w pełni przytomny, ale bełkotał coś bez sensu, powtarzając raz po raz: – Moje kostki! Puszczaj!... Zamknij w grobowcu.

W końcu zjawił się doktor ze swoją walizeczką i po zadaniu kilku niezbędnych pytań zdjął z pacjenta wierzchnie odzienie, buty i skarpetki. Rany – obie kostki były upiornie poszarpane w okolicy ścięgien Achillesa – mocno zaskoczyły starego lekarza, aż w końcu zdumienie przerodziło się w zgrozę. Jego pytania przepełniło poza profesjonalne napięcie, a dłonie

drżały, gdy opatrywał zmasakrowane kończyny, bandażując je tak, jakby chciał jak najszybciej pozbyć się widoku upiornych okaleczeń.

Jak na obojętnego z natury lekarza, złowieszcze i przesycone grozą przesłuchanie, któremu poddał osłabionego przedsiębiorcę pogrzebowego, by wydobyć od niego wszelkie szczegóły dotyczące jego przerażającej przygody, mogło wydać się doprawdy nietypowe. Z osobliwym niepokojem pragnął dowiedzieć się, czy Birch był pewien – absolutnie pewien, czyja skrzynia znajdowała się na samym szczycie, jak ją wybrał, skąd miał pewność – wszak w grobowcu było ciemno – że trumna należała do Fennera, i w jaki sposób umiał odróżnić ją od identycznej bądź co bądź skrzyni plugawego Asapha Sawyera. Czy twarda, solidna trumna Fennera mogłaby poddać się tak łatwo? Davis prowadzący w wiosce długoletnią praktykę był, rzecz jasna, obecny przy obu pochówkach i wspomagał tak Fennera, jak i Sawyera w ich ostatniej chorobie. Zastanawiał się przy tym, podczas pogrzebu Sawyera, jakim cudem mściwy farmer zdołał zmieścić się wyprostowany w skrzyni sporządzonej dla odznaczającego się niewysokim wzrostem Fennera.

Po pełnych dwóch godzinach doktor Davis wyszedł, nakazując Birchowi, by, kiedy go zapytają, upierał się, że rany spowodowane zostały wyłącznie przez drzazgi i sterczące z trumny poluzowane gwoździe. Cóż innego – dodał – można by udowodnić lub w co można by uwierzyć, twierdząc inaczej? Najlepiej jednak, aby starał się omijać ów temat i przy leczeniu tych ran nie korzystał z usług innego lekarza. Birch przez resztę życia stosował się do jego rady, dopóki nie opowiedział mi swojej historii, a kiedy ujrzałem blizny – wówczas już zastarzałe i pobielające – przyznałem, że postąpił słusznie.

Na zawsze pozostał kaleką, uszkodzeniu bowiem uległy główne ścięgna, sądzę jednak, że najbardziej ucierpiała jego dusza. Charakter mężczyzny,

ongis tak flegmatyczny i logiczny, został w nieodwracalny sposób spaczony i od czasu owego feralnego zdarzenia Birch w niesamowity wręcz sposób reagował na hasła „piątek”, „grobowiec”, „trumna” czy inne, mniej wyraźne aluzje do pamiętnego dlań wydarzenia. Jego spłoszony koń wrócił do domu, ale lękliwość i niepewność nie opuściły go już nigdy. Birch zmienił fach, lecz zawsze coś go dręczyło. Może to tylko strach, a może osobliwe wyrzuty sumienia wywołane popełnionymi w odległej przeszłości występkami. Topił swoje zgryzoty w alkoholu, ale rzecz jasna, w ten sposób nie był w stanie zapomnieć.

Kiedy doktor Davis opuścił Bircha owej nocy, wziął latarnię i udał się do starego grobowca. Księżyc oświetlał rozrzucone kawałki cegieł i posępną, brązową fasadę, a zamek wielkich drzwi ustąpił bez oporu, gdy Davis spróbował otworzyć je od zewnątrz.

Lekarz, który widział już niejednen koszmar w salach sekcyjnych, wszedł śmiało do środka i rozejrzał się wokoło, tłumiąc mdłości ciała i umysłu, które wzmagają jeszcze upiorny widok i panujący wewnątrz fetor. Raz krzyknął w głos, a w chwilę potem wydał z siebie jęk, bardziej przeraźliwy niż najdonośniejszy wrzask. Następnie pędem powrócił do domku dozorczy i złamał wszelkie zasady swego szlchetnego zawodu, brutalnie budząc i bezceremonialnie tarmosząc swego pacjenta, z jego ust zaś dobywał się zjadliwy szept, który zaskoczonemu przedsiębiorcy skojarzył się z jadowitym sykiem wiotriolu.

– To była trumna Asapha, Birch, tak jak myślałem! Rozpoznałem go po zębach, w górnej szczęce brakowało mu przednich – na litość boską, nigdy nie pokazuj nikomu tych ran! Ciało było w fatalnym stanie, ale jeszcze nigdy nie widziałem tak silnej nienawiści malującej się na ludzkiej twarzy... lub tym, co kiedyś nią było!... Wiesz, jak bardzo ten diabeł był mściwy – jak doprowadził do ruiny Raymonda, w trzydzieści lat po procesie o

miedzę, i jak zdeptał tę psinę, która rzuciła się nań z zębami w sierpniu, ubiegłego roku... To był diabeł wcielony i wierzę,

Birch, że jego nienasycona furia była w stanie pokonać czas i śmierć! Boże, jego gniew, jak to dobrze, że nie wybrał sobie mnie na ofiarę!

Czemu to zrobiłeś', Birch? Był szują i łajdakiem, jakich mało, nie mam ci za złe, że dałeś mu wybrakowaną trumnę, ale tym razem posunąłeś się za daleko! Skapstwo skapstwem, ale dobrze wiedziałeś, że stary Fenner był człowiekiem nikczemnego wzrostu.

Nigdy, póki żyję, nie zapomnę tego widoku. Musiałeś wierzgnąć z całej siły, bo trumna Asapha leżała na podłodze. Miał pękniętą czaszkę i jej zawartość wypłynęła na zewnątrz. Widziałem już wiele, ale to, co tam ujrzałem, przeszło wszelkie dopuszczalne granice. Oko za oko! Wielkie nieba, Birch, muszę stwierdzić, że dostałeś, co ci się należało! Na widok rozłupanej czaszki mdłości podeszły mi do gardła, ale krew zastygła mi w żyłach, dopiero gdy ujrzałem nogi trupa, ucięte w kostkach, tak aby ciało Asapha mogło zmieścić się do małej, wybrakowanej trumny MattaFennera!